ROK II GRUDZIEŃ Nr. 3

ŻYCIE MŁODZIEŻY

ORGAN KÓŁ NAUKOWYCH UCZNIÓW
PAŃSTW. GIMN. IM. M. KOPERNIKA
W ŁODZI.



Ł Ó D Ź

1 9 3 1

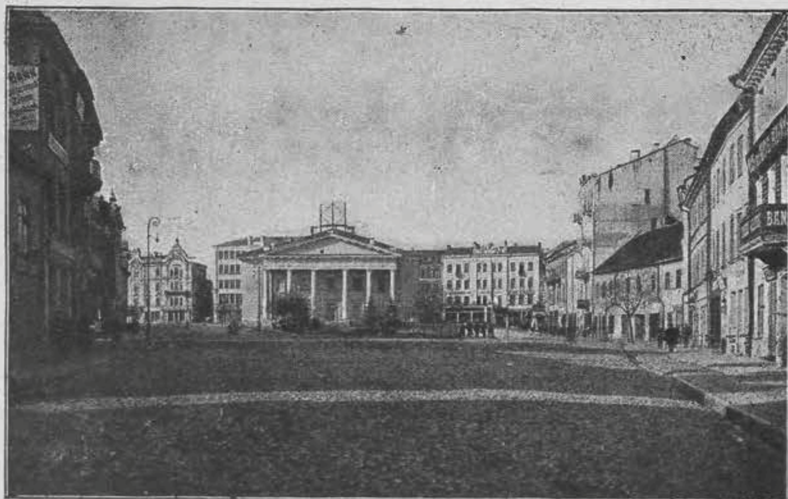
Spis treści.

KOMUNIKAT.

Administracja „Życia Młodzieży" zawiadamia Sz. Czytelników, iż ma na składzie parę oprawnych egzemplarzy rocznika „Ż. M." w cenie 5.— zł. za egzemplarz.

Prenumerata kwartalna wynosi zł. 1.80. Cena numeru pojedyńczego 70 gr.
Cena ogłoszeń: cała strona 30 zł., pół strony 18 zł., ćwierć strony 12 zł.
Redaktor naczelny: Edwrad I. Howorka. Admin. J. Kazimierczak.
Przedstawiciel Rady Pedagogicznej: Prof. Mgr. J. Andysz.
Wydawca: Koło Naukowe Uczniów Państw. Gimn. im. M. Kopernika.
Adres Redakcji i Administracji:
Łódź, Śródmiejska 41 — Państwowe Gimnazjum im. M. Kopernika.

Okładkę projektował kol. K. Chrabelski. Druk Współczesnej Drukarni Artystycznej w Łodzi



RATUSZ w WILNIE (do „Kącika harcerskiego").



TOMASZ A. EDISON



Z OTWARCIA ŚWIETLICY

Nr. 3 GRUDZIEŃ R. 1931 (II)

ŻYCIE MŁODZIEŻY

Organ Kół Naukowych Uczniów Państw. Gimn. im. M. Kopernika w Łodzi.

H.

Niemcy na polskim Śląsku.

(Przyczynek do „Miesiąca Śląska").



Wojciech Korfanty

Mimo wiekowej niewoli pod jarzmem niemieckim, mimo tyloletniego ucisku — lud śląski nie przestał czuć, wierzyć i myśleć po polsku. Wytężona walka, którą prowadził z żywiołem niemieckim pod dowództwem Lompy, ks. Szafranka, Kosickiego, potem Miarki, ks. Radziejewskiego, Korfantego i Grażyńskiego — jest chlubnym wynikiem egzaminu jego narodowej dojrzałości.

Walka o Śląsk zakończyła się naszą przegraną. Krwawiąca, bolesna granica odcięła od Macierzy prawie miljon Polaków, oddając ich na łup germanizacji.

Według obliczeń z kwietnia b. r. na terenie województwa Śląskiego znajduje się około 260.000 Niemców. Siła ta — z natury swej destrukcyjna dla naszej państwowości, w połączeniu z nastrojami, panującemi wśród „nieszczęśliwej" niemieckiej mniejszości, popierana materjalnie przez półoficjalne czynniki Rzeszy — potęguje ostrość kwestji niemczyzny na Śląsku.

Tu trzeba wziąć pod uwagę, że Niemcy mają w swych rękach ogromną część śląskich kapitałów. Prawie 90% ziemi leży w ich rękach. Opanowawszy całkowicie przemysł, administrację, przedsiębiorstwa — mają potężny wpływ na zależne od nich materjalnie polskie masy robotnicze.

Wpływ ten wybitnie zaważył między innemi w czasie plebiscytu, w czasie wyborów do Sejmu Śląskiego i w kwestji szkolnictwa mniejszościowego.

Jeszcze obecnie — dzięki temu, — po 13 latach państwowości polskiej wielki procent dzieci polskich znajduje się w szkołach niemieckich, gdzie podlega wynaradawianiu.

Obok potęgi gospodarczej Niemców, olbrzymie znaczenie ma ich świetna — przyznać trzeba — organizacja.

Wszystkie towarzystwa, instytucje, związki o najrozmaitszych celach i dążeniach, partje polityczne (sic!) złączyły się w ramach t. zw. „Volksbundu". Organizacja ta powstała w 1921 r. jako rzecznik obrony rzekomo uciśnionej mniejszości niemieckiej. Na jej czele stoi obecnie Henryk ks. Pszczyński jako prezes, i osławiony Otto Ulitz jako kierownik Centrali.

„Volksbund" — finansowany wydatnie przez rząd niemiecki, — wypłaca dodatkowe pensje nauczycielom szkół mniejszościowych (nietylko na terenie Śląska) i prowadzi na szeroką skalę zakrojoną akcję destrukcyjną. Nadto, rozporządzając potężną siłą prasową, raz po raz urządza przeciwpolskie ataki zagranicą, robi fałszywe alarmy na Zachodzie, nic nie znaczący zatarg rozdmuchując do wielkości światowej wojny.

Akcja takich organizacyj, napady na szkoły i ochronki polskie, bestjalskie znęcanie się nad artystami w Opolu, — są jedynie wykładnikiem nastrojów współczesnych Niemiec, na czele których widnieje — rewizjonizm.

Wystąpienia oficjalne w tym kierunku, jak Treviranusa, Brüninga, Curtiusa i Hindenburga, kongresy mniejszości narodowych (nieudane) — zbyt są znaczne, by się nad niemi rozwodzić.

Bramą wypadową dla ich ataków stało się przechytre zastrzeżenie co do granic wschodnich w Locarno i konwencja o mniejszościach narodowych.

Zbyt potężne jest dziś państwo nasze, by się ich obawiać.

Wolno, z wielką trudnością przychodzi nam walka z irydentą niemiecką. Niemniej jednak każdy rok przynosi pewne zwycięstwa.

Polacy dnia dzisiejszego muszą jednak Śląsk od wszelakiego wpływu obecnego oczyścić.

My — młodzi, — zwolnić musimy Ślązaków z za kordonu.

J. LEWANDOWSKI.

W borze.

Zmarłym kolegom — bojownikom za wolność poświęca — autor.

Kolebie się łagodnie niezmierzony, niebosiężny łan sosen polskich. Ich żółte, fantastycznie pożłobione pnie, rozsiewające wokół aromat żywiczny, wystrzelają w górze przeczystą zielenią różnokształtnych kit.

Od tych koron, co pną się z rozmachem ku słońcu, idzie poważny, tajemniczy, zrozumiały jedynie dla mieszkańców lasu — poszum.

U stóp sosen — olbrzymów, które acz objęte wspólną nazwą boru, cechuje głęboki indywidualizm, rozściela się wzorzysty kobierzec ciemnozielonego mchu, przetykany listowiem jagody leśnej, zajęczego szczawiu, paproci i innych pomniejszych, odwiecznych mieszkanek lasu, które, wparłszy się korzonkami w ziemię — rodzicielkę, zażywają beztroskiej wegetacji.

Ktoby jednak przeniósł spojrzenie na sklepienie niebieskie, zrzadka przebłyskujące między koronami drzew, wyczułby w górze pewną obawę przed nieubłaganym splotem zjawisk przyrody; doniedawna jasne i niefrasobliwe obłoczki poszarzały nagle od niepokoju i rwać poczęły przed siebie naoślep.

Ziemia zdaje się dygotać od niepokoju i w oczekującem milczeniu obserwować nieboskłon, pęczniejący wzbierającą nanim z minuty na minutę ciemną opończą chmur.

Powiał wiatr gwałtowny, wdarł się do środka boru i skonał na nieustępliwych pniach drzewnych. Ale przyszły dalsze podmuchy, że rozkolebały się gwałtownie korony wielkoludów leśnych; ni to lęk przed burzą, ni pomruk mocarny, z jakim ongi stalowi rycerze szli do walki.

Burza roztoczyła nad ziemią swój brudny płaszcz z postrzępionych chmur.

Umilkł na moment wicher, las powlekł się grobowem milczeniem, zastygł w martwem przerażeniu.

Wstał nowy powiew, lecz jakiś inny, gorący.

Z rozbieganych chmur pociekły wielkie krople wody.

Zagrzmiały potężnym poszumem sosny spieczone kilkudniowym skwarem. Z rozkoszą poddawały się pieszczocie życiodajnej wody, prężyły w najwyższej ekstazie obnażone ramiona.

Radość lasu zmącił zygzak błyskawicy i grzmiot pioruna — zapowiedź ataku burzy na ziemię.

Runął na las z głuchym łoskotem jednolity strumień ulewy.

Spotęgowany wicher wparł się w korony drzewne, zatargał niemi zwichrzył i odarł z gałązek.

Raz po raz las rozbrzmiewał grzmotem i jeden z olbrzymów, zjednoczonych grozą gwałtownej śmierci, zajął się ogniem i na pół rozszczepiał.

A las stał wpośród piekielnej atmosfery burzy — hardy, nieugięty.

Jakżeś wielki bezgranicznem bohaterstwem, jakżeś mocarny, borze sosnowy!

Lecz cóż to? — trwożysz się w sobie, słabniesz w stwardniałej obojętności śmierci?

Bór drżał na wielogłowem ciele, schylił się ku ziemi i tysiące oczu nabrzmiałych litością, skierował ku swym stopom.

—Wróćsię,niekażnampatrzećnatwązgubę—żebrałyzrozpaczonedrzewa.
Oparty plecami o pień drzewa, stci na przemokłej ziemi młody mężczyzna w mundurze polskiego legjonisty. Z jego piersi spływa struga czarnej krwi.

Zrozumiał w godzinie śmierci mowę lasu, spojrzał po współczujących mu pniach sosen i uśmiechnął się smutnie. Podniósł rękę ku zbolałej piersi i osunął się na ziemię.

Złożył głowę na poduszce mchu. Myślą pobiegł ku treści całego swego życia, ku temu, co ukochał i za co ginie.

Jak żywa stanęła mu przed oczyma twarz matki, stanęły i siwe oczy i brwi kraczaste ojca narodu polskiego.

Ujrzał także czerwone mury, w których wzrósł, zmężniał i zdobył ideały Polaka — obywatela.

Wyszepnął coś zbielałemi wargami.

Odchodząca burza zastała stygnące już ciało ucznia — legjonisty. Jego twarz opromienił jasny uśmiech, odblask słonecznej myśliwchwili konania.

T. NOWACKI.

W parku.

Idą szumy przy powiewie,
szumy i szelesty.
A drzewa drżą i trzęsą strwożone gałęzie
i liście się chwieją,
i szumią i falują to szerzej, to węziej.
Plazma zieleni się trzęsie jak żywa,
chmury bałwanią się, kłębią
i niebo w górze przelewa,
lśni czasem w szarem płótnie jasną szczerbą.
— —
— —
— — — — — — — — — — — — — — — — — — *Zryw.*
Ogromny szumów chór,
głębokie zwały szarych chmur
kłębią się, burzą.
— — — — — — — — — — — — — — — — — — *Szum.*
. . . Ogromny szum —
z drzew płynie fala zżółkłych liści.
Po sprężystych gałązkach wiatr śwista . . .
— —
Świat wchłania w piersi miękką falą,
Zmienia się w krzew — — — — — —
— — — — — — — *panteista ! ! ! . . .*

Jestem dziennikarzem.

(Rozprawa bynajmniej niefilozoficzna).

„Dojrzałość” rozsypała nas przedziwnie. Jedni sposobią się ochoczo do budowania domów, drudzy do bronienia przed sądem tych pierwszych, gdyby domy się zawaliły, inni do strzeżenia tych domów przed atakiem lotniczym, jeszcze inni drzewa będą na te domy dostarczali i t. d. Wszyscy się kręcą dookoła tych domów, nawet i ja, bo, gdyby te domy się zawaliły albo je z powietrza zniszczono, to moim obowiązkiem będzie Was o tem powiadomić. Przedziwne bowiem zrządzenie losu sprawiło, że zostałem dziennikarzem, lub też „opinjokrętem”, jakby się to wyraził Wasz „redattore”, rozkochany w O. Szukalszczykach (Biada Ci redaktorze, jeśli to skreślisz!).

Ale do rzeczy. Jestem więc dziennikarzem, uosabiam opinję publiczną, policja ma dla mnie szacunek.

Z początku zatem, wgłębiałem się w tajniki eteru, wyłaniając stamtąd rzeczy przyjemne i pożyteczne. Oto opowiada ktoś o wypadku autobusowym gdzieś w . . ., w . . . Do djabła! Akurat chciało się komuś na eterze zagwizdać i akurat teraz musiała nieludzko zawyć w maszynowni maszyna do obcinania klisz. Usłyszałem tylko: Kanada. Wiadomość ciekawa, 12 trupów, szkoda tracić. Jazda po rozum do głowy. W Kanadzie jest miasto Quebec. Nazajutrz wszyscy czytają: „Pod Quebec (Kanada) zostało zabitych 12 osób w wypadku autobusowym”. I ludzie mają pociechę i ja jestem zadowolony i pismo, znaczy się, dobre. Na takiej to, ze wszechmiar godnej pożałowania robocie, upłynął mi pewien czas. Potem zaawansowałem. Już zacząłem i samodzielnie pisywać. Ale wtedy zaczął się „sezon”. Ja przy radjo, kilka maszyn do pisania wali, jeden telefon dzwoni, przy drugim odbiera ktoś telefonogram z Warszawy, więc krzyczy, jakby chciał, żeby jego warszawski rozmówca usłyszał go bezpośrednio, jacyś goście rozmawiają, rozlegają się spazmatyczne krzyki: „Chłooopiec!” „Chłooopiec!”, na dole maszyna rotacyjna warczy w nieludzki sposób, na górze linotypy trzaskają, jakby kto kartofle na pudło blaszane wysypywał. A ty, w tym piekielnym rozgardjaszu słuchaj, co ci tam ktoś cichuteńko przez radjo opowiada. Wściekły rzucam słuchawki. Przez podstęp wojenny wywabiam kogoś od maszyny do pisania i sam się przy niej lokuję. Teraz znów ja walę, jak opętany, w klawisze. Szybko biegną sznureczki czarnych liter, zapełnia się kartka jedna, druga. Poprawiam jeszcz ołówkiem oddaję kierownikowi działu i zmykam. Na deptaku, jak zwykle, wesoło, ale w mojej biednej głowie nie ma na to miejsca. W domu — z miejsca rzucam się na łoże. Zasypiając, słyszę jakieś niewyraźne dźwięki jakby coś wyło, ale ponieważ akurat śni mi się redakcja, więc się nie przejmuję.

Nazajutrz, gdy tylko zjawiam się w przybytku mej pracy, odrazu piekło: Co pan sobie myśli! Jak pan spełnia swe obowiązki! Co to jest?! Słyszał pan wczoraj wieczorem syreny? Dlaczego pan nie poszedł na pożar. Ledwie zdążyłem wyjąkać, że spałem już, a ten: „To trzeba było wstać. Dla prawdziwego dziennikarza niema nic trudnego”. Ha, trudno, widać nie jestem prawdziwym dziennikarzem. Teraz, aby naprawić pędzę na miasto. Na rogu tłum ludzi. Oczywiście i ja się przepycham „Proooszę się rozejść! Rooozejść się proszę. Proszę się cofnąć!” Policja zaczyna wcale niedelikatnie rozganiać. Jakiś potężny posterunkowy zmierza z groźną miną do mnie. Ale to nic. „Prasa jestem”. Na widok mej osoby, ucieleśniającej ósme mocarstwo świata, policjant mówi „Przepraszam” i obchodzi mnie wokoło, jakbym był serwisem z porcelany na 24 osoby. Docieram ostatecznie do starszego przodownika. „Panie komisarzu (trzeba być grzeczny), co się tu stało”. „A nic. Balonik dziecku uciekł, więc się ludzie zebrali”. Zły wskutek straty czasu i spracowania łokci (musiałem się tęgo przepychać) walę dalej. Mam parę kawałków, ale mało. Trzeba coś jeszcze dostać. Wracam do redakcji, siadam do telefonu. Dzwonię pokolei do wszystkich komisarjatów. „Moooje uszanowanie panu naczelnikowi. Nie ma pan naczelnik czego ciekawego? Nic? Może jakie parę trupów? Nie? Szkoda. Dowidzenia panu naczelnikowi”.

Ostatecznie trochę się zebrało. Siadam do pisania. A tutaj wołają „Proszę przyjąć telefonogram z Katowic”. Siadam do telefonu, djablo zły, bo mi tymczasem, sprzątną maszynę. A ten osioł z Katowic, zaczyna mi: Dobry wieczór koledze. Co słychać? Jak u was pogoda? Bo u nas okropnie”. Nie przerywam jego wynurzeń. Zrozumiał moje milczenie, zaczyna nadawać. Skończył. Już myślę, żem uwolniony, a on do mnie. „Może kolega się dowie, jak się nazywa ten, co to . . .”. Rzucam słuchawkę i pytam się. „Bimski” wołam. „Jak?” brzmi z Katowic. „Bimski!” „Nie rozumiem”. „Bimski!!”. „Chiński?”, „Bimski!!!” „Birski?” „Bimski!!!!” „Może kolega podyktuje wyrazami” „Be — jak bydlę i — jak idjota, em — jak małpa, es — jak stary osioł, ka — jak kretyn, i — jak...” Katowiczanin zrozumiał i tylko melancholijnie rzekł: „Dobranoc koledze”.

J. STRUKOW KL. VI.

Handzia.

(Klechda rusińska).

Był piękny zimowy wieczór. Słońce już skryło się za widnokręgiem, zostawiając za sobą czerwoną smugę światła, która coraz ciemniała, aż znikła zupełnie. Niebo było czyste, spokojne, usiane tysiącami gwiazd błyszczących i mieniących się, jak drogie kamienie. Wkoło panowała niczem niezmącona cisza. Lekki wiaterek ledwie poruszał wierzchołkami drzew

W taki wieczór znalazłem się na stacji Dubica, niedaleko Brześcia n/Bugiem.

Będąc jeszcze w wagonie, spostrzegłem furmana, który po mnie wyjechał. Był to chłop niewysoki, barczysty i silny, pomimo swej sześdziesiątki. Ubrany był w duży kożuch i ogromne buty. Z pod krótkich nawisłych brwi, spojrzała na mnie para niebieskich oczu, przysłoniętych już mgłą starości. Na powitanie uchylił wysokiej baranicy:

— Jedźmy prędzej panyczu — rzekł — was w domu nie mogą „doždatsja”.

Nie potrzebował mi wcale tego mówić, bo dusza rwała się do domu. Myśl, że zobaczę prędko swoich, tak bliskich i kochanych, dodawała mi przyjemnej trwogi i niecierpliwości. Blady księżyc oblewał nas swem zimnem światłem. Śnieg błyszczał tak mocno, że trzeba było wciąż mrużyć oczy.

Sunęliśmy lekko, bez wstrząśnień.

Drzemałem zatopiony w słodkich marzeniach, podczas gdy mój woźnica ciągle palił papierosy. Tak przejechaliśmy kilka kilometrów i wjechaliśmy na rozstajne drogi. Przed nami zarysowały się linje starego pochyłego krzyża. Chłop zdjął czapkę i przeżegnał się.

— A wiecie panyczu — zwrócił się do mnie — „tut takoje”.

— Co straszy? — zapytałem.

— A Handzia.

— Jaka Handzia?

— To wy „niczoko” nie wiecie? — zdziwił się chłop.

— Nic nie wiem — odparłem.

— No to „dawajte”, ja wam „rozkažu”.

— Opowiedzcie no, nic nie słyszałem o tej Handzi — poprosiłem zaciekawiony. — „Kto to był”?

— O, dawno to, dawno — rozpoczął chłop — kiedy ja jeszcze młody „buw”, chodziłem prosto, niezgarbiony jak teraz. Wzrok miałem dobry, czupryne „kuczerawą” i czarną jak smoła. Eh, dobre to były lata! . . Otóż żyła wówczas w sąsiedniej wsi dziewczyna. „Harna buła”. Oczy miała kare, brwi czarne, liczko białe, rumiane, długie warkocze do pięt jej sięgały. „Panyczy” przyjeżdżali do niej, chłopy ze wsi dalekich swatów zasyłali. A ona nie i nie.

— Wolę panną być, — gada — co to mi za przyjemność garnków pilnować i dzieciom jeść dawać. Ja chcę tańczyć, a co po tem, to mnie nic nie obchodzi.

Tańce to były jej „żytia”. Nikt też tak nie tańczył jak ona. Tylko do cerkwi „ne chodyła” i nigdy się nie modliła. „Kazały” baby, że duszę czortu sprzedała. Aż raz stało się.

Było to jakoś na zimę. Zebrali się razem chłopcy i dziewczęta potańczyć, pośpiewać, pobawić się. Wiele tam było ślicznych panien, lecz Handzia wszystkie zaćmiła swą urodą. Bawiono się też bardzo wesoło. Nie spostrzeżono się wcale, jak stary zegar wybił „dwanajciatu hodynu” . . . przeciągał stary z ruska.

Uczułem, że robi mi się zimno. Silniej okręciłem się burką i słuchałem dalej.

— Otóż nagle — ciągnął dalej chłop — zerwał się okropny wicher, chociaż przedtem było tak spokojnie jak teraz. Drzwi i okna otwarły się, światło zgasło. Obecni, wszyscy przerażeni, rzucili się pod ławki, pod stoły, gdzie kto mógł. Jedna Handzia została na środku chaty. Wicher rozwiał jej włosy, porwał bluzkę, a ona sama, biała jak kreda, przyrosła do „zemli”. Kłąb śniegu wpadł przez okno, otoczył ją i znikł. Zaraz też zcichło na dworze . . . Nazajutrz ludzie znaleźli ją martwą na skrzyżowaniu dróg, gdzie niedawno przejeżdżaliśmy. Tegoż dnia nad wieczorem przywieźli ją do parafji, pochować. Proboszcza nie było, więc zostawiono ją na noc w cerkwi.

Koło cerkwi stała „szcze todi starożiwka”, w której nocował stary stróż — Petro. Taki stary on był, że już ledwie chodził, głuchy był okropnie i niczego nie bał się. Tej nocy spał jak zwykle w swej „starożiwci”. Ale około północy słyszy, że ktoś puka. Początkowo myślał, że mu się tylko tak zdaje, ale pukanie powtórzyło się. Zerwał się więc z tapczana i pyta:

— A chto tam?

— To ja, Handzia! — słyszy głos z za drzwi.

Petro zdziwił się, bo przecież trumnę sam w cerkwi ustawiał, więc „pytaje”:

— A ty czego szukasz po nocy, ty „żywcesz”?

— Umarłam, ale „On” pozwolił mi jeszcze jedną noc „tanciuwaty”.

Petro nie wierzył uszom swoim i otworzył drzwi. Oczom jego przedstawił się straszny widok. Handzia, ubrana tak, jak była w trumnie, „stojała” za progiem. Oczy miała zielone, błyszczące strasznie i groźnie w promieniach księżyca, twarz blada, usta sine i zakrzywione palce u rąk kurczowo zcieśniały się i zwalniały. Z za pleców jej wyglądały setki okropnych mord, rogów i kosmatych łap. Petro spojrzał i zadrżał. Nogi mu się zachwiały i on runął na podłogę... „Na druhij deń” przyjechał proboszcz i pochował Handzię. Petro długo chorował, a gdy wyzdrowiał, nie chciał już być więcej stróżem.

Od tego czasu corocznie, w rocznicę śmierci Handzi, zrywa się w tem miejscu, gdzie ją znaleziono, okropny wicher. Coś jęczy, płacze, zawodzi, wyje... Wiatr to z świstem i hukiem przelatuje ponad polami i niesie

rozpaczliwy okrzyk: „Ja chcę tańczyć!“... Ciemne obłoki zupełnie zakrywają niebo i nieznane, wielkie czarne ptaki, wydając okropne okrzyki krążą w powietrzu. I nie było u nas jeszcze takiego śmiałka, któryby przejechał ową drogą w taką straszną noc...

Chłop skończył. Ja milczałem... Konie zwolniły... Wjeżdżaliśmy już do wsi.

DZIAŁ NAUKOWY

E. PLUTA.

Łódzkie czytelnie książek.

(na podstawie materjałów zebranych przez Koło Polonistów)

Książka w życiu człowieka, a szczególnie w życiu ucznia ma kolosalne znaczenie. Ona pomaga w nauce, daję wiedzę, użycza strawy duchowej. Bez książki nie wyobrażamy sobie nauki.

Człowiek utrwala swą twórczość w języku i dzieli się nią z tysiącami czytelników. Obecnie wprowadzamy nowy system pracy polegający na samodzielnem opracowywaniu przez ucznia otrzymywanego materjału.

Zresztą, jak wielką rolę odgrywa książka w dostarczaniu materjału do elaboratów. Niekażdy może sobie pozwolić na kupno tej lub innej książki, tembardziej, że czas dzisiejszy jest krytyczny a książka zwykle droga.

Sytuacja więc staje się beznadziejną. Z opresji wydobywają nas bibljoteki i czytelnie. Ale ileż to uczniów nie wie o czytelniach, dla nich dostępnych:

Artykuł niniejszy ma zupoznać ich, gdzie najlepiej się udać w poszukiwaniu materjałów do prac.

Łódzka Miejska Bibljoteka Publiczna jest oświatową placówką, cieszącą się największą frekwencją i popularnością wśród młodzieży.

Z tego względu należy o niej kilka słów powiedzieć.

M. B. P. powstała w czasie okupacji, staraniem garstki inteligencji zawodowej. Z roku na rok, a raczej z dnia na dzień wzrasta znacznie i pokładane w niej nadzieje spełnia.

Mieści się przy ul. Andrzeja 14 i czynna jest codziennie od godz 10 do 21.

Lokal składa się z a) szatni, b) pokoju katalogów, c) pokoju Kierownika i administracji d) dwóch sal dla czytelników (ogółem 90 miejsc) i e) sali bibljotecznej.

Ogólna liczba dzieł wynosi prawie 13.000 tomów.

Specjalizacja: dział naukowy a zwłaszcza filozofja, nauki ekonomiczno-społeczne, literatura i historja.

Katalogi kartkowe dzielą się na trzy rodzaje t. j. katalogi wewnętrzne, przeznaczone dla użytku personelu, katalogi rozumowe (według podziału pod względem treści), oraz alfabetyczne (według nazwisk autorów).

Ten przedostatni urządzony został w ten sposób, iż wiedzę ludzką podzielono na 10 działów (system Dewey'a).

0) Dzieła treści ogólnej
1) Filozofja
2) Religja
3) Nauki społeczne i prawne
4) Filologja i językoznastwo
5) Nauki matematyczno-przyrodnicze
6) Nauki stosowane
7) Sztuki piękne, zabawa, sporty
8) Literatura
9) Historja i geografja

Powieści, dzieła o wielkiej wartości, druki z przed XVIII wieku wydaje się za specjalnem zezwoleniem kierownika bibljoteki p. J. Augustyniaka.

Korzystać z bibljoteki wyłącznie na miejscu (za opłatą 10 groszy) mogą dorośli oraz młodzież klas VII-mych i VIII-mych.

W ciągu roku 1930 z bibljoteki skorzystało 46,428 osób, z czego 31,351 mężczyzn i 15077 kobiet.

Ciekawie przedstawia się klasyfikacja czytelników według zawodów. I tak na czoło wysunęli się uczniowie (17.308) przed studentami (10.038) pracownikami handlowymi (3494) i t. d.

Jeżeli chodzi o klasyfikację czytanych książek to największą wziętością cieszą się dzieła z zakresu nauki społecznej (21943), literatury (13.343), historji i geografji (13.343), filozofji (7696) i t. d.

W swoim czasie czytelnik miał pod ręką pisma i bibljoteczkę podręczną (encyklopedje, słowniki, atlasy i t. p. które obecnie przeniesiono do pokoju bibljotecznego.

Bibljotekę subsydjuje Magistrat m. Łodzi, który dba o wygląd, utrzymuje personel i kompletuje dzieła.

Drugą placówką oświatową jest Centralna Bibljoteka Pedagogiczna przy Kuratorjum „O. S. Ł. Adres — Piotrkowska 104, oficyna II piętro. Czynna jest codziennie od godz. 18 do 20.

Członkami mogą być nauczyciele, czytelnikami. — studenci seminarjów i uczniowie 8-mych klas szkół średnich.

Bibljoteka powstała w r. 1925 z inicjatywy p. wizytatora Czapczyńskiego. Dzięki poparciu Ministerstwa W. P. i O. P. oraz najwyższych władz naukowych bibljoteka rozwijała się pomyślnie.

Obecnie P. C. B. P. pozbawiona jest niemal zupełnie funduszów. W r. 1930 było 7440 dzieł, w czem większość stanowiły książki naukowe i pedagogiczne.

Kierownictwo bibljoteki (p. prof. Grzędzielski) dąży do nadania jej charakteru wyłącznie pedagogicznego.

W związku z tem, ze znajdującej się przy bibljotece czytelni usunięto szereg czasopism, na miejsce których zakupuje się nowe dzieła wyłącznie z dziedziny pedagogiki.

Członków liczy P. C. B. P. około 800, w tem 300 z nauczycieli szkół średnich, 400 z nauczycieli szkół powszechnych, reszta — słuchacze Wolnej Wszechnicy oraz nauczyciele z prowincji.

Układ katalogów bardzo przejrzysty. Są ich 2 rodzaje: alfabetyczny, według nazwisk autorów, oraz działowy. Ten ostatni podzielono według systemu Dewey'a (patrz wyżej M. B. P.).

Prócz wymienionych działów znajduje się jeszcze dział czasopism. Przy bibljotece czynna jest czytelnia czasopism (codziennie od 16 — 21), dostępna dla wszystkich a zawierające wiele pism pedagogicznych oraz naukowych a zwłaszcza filozoficznych w językach: polskim, francuskim i niemieckim.

P. C. B. P. jest jedyną na terenie Łodzi naukową bibljoteką pedagogiczną.

WOLNA TRYBUNA

J. BALSEWICZ

Koło Inicjatywy Społeczno-Obywatelskiej.

Niejednokrotnie słyszymy narzekania na młodzież dzisiejszą. Starsze pokolenia nie szczędzi nam uwag za brak ideału, brak wytkniętego z góry celu i wytrwałości w dążeniu do jego osiągnięcia.

Ileż to razy spotykamy się w życiu z nieufnością w siły nasze, na których ma się oprzec niepodległy byt odrodzonej Polski.

Młodzież dzisiejsza sama doskonale rozumie ogrom czekającego na nią zadania, i, chociaż najczęściej nie chce się do tego przyznać, odczuwa pewien niepokój przed tajemniczą przyszłością.

To też już na ławie szkolnej staramy się poznać naszą przyszłą rolę w społeczeństwie i do jej spełnienia należycie się przygotować. Najwię-

kszym zaś dowodem tych dążeń jest powstanie na terenie naszego gimnazjum Koła Inicjatywy Społeczno-Obywatelskiej.

Myślą przewodnią działalności Koła Inicjatywy Społeczno-Obyw. jest przygotowanie jaknajwiększego zastępu młodzieży, świadomej swych praw i obowiązków wobec państwa, do czynnego życia społeczno-politycznego.

Celem Koła jest: badanie dzisiejszych prądów socjalnych, poznanie współczesnego życia społeczno-kulturalnego i zaprawianie do czynnego w niem udziału jaknajszerszych warstw młodzieży.

Do osiągnięcia powyższych celów dąży Koło bądź to drogą referatów i dyskusyj na zebraniach ogólnych, bądź to przez urządzanie uroczystych obchodów świąt narodowo-państwowych.

W związku z reorganizacją życia szkolnego obowiązek urządzenia uroczystości państwowych przyjęło Koło Inicjatywy Społeczno-Obyw. i będzie dążyło do nadania im odpowiedniego charakteru wychowawczego.

KĄCIK HARCERSKI

Z okazji 15-lecia naszej drużyny gimn. im. R. Traugutta — umieszczamy kilka prac informujących o całokształcie jej dorobku.

XV lecie III m. d. h. im. R. Traugutta w Łodzi.

Drużyna im. R. Traugutta została założona w 1916 r. Odzyskanie niepodległości Polski — jako ideał przyświecało każdemu przedsięwzięciu pracy drużyny w okresie do r. 1921.

W r. 1918 i 1920 widzimy harcerzy drużyny na placu bitew, gdzie kilku z nich ginie. Drużynowymi w tym okresie byli: Antoni Pawlikowski, Eryk Zieliński.

Rok 1922—24 jest najświetniejszym okresem rozwoju pracy. W owym czasie drużyna pod komendą dha Nowosielskiego, potem Wisławskiego i Miłodrowskiego kształci szeregi instruktorów. Niestety, potem następuje okres upadku drużyny w 1927 r. wkrótce po pamiętnym pierwszym obozie w Małych Górkach. Młodzi harcerze przydzieleni zostają do XV d. im. A. Małkowskiego. Kierownicy zastępów przenoszą pracę niemal całkowicie w pole. Wkrótce w kwietniu 1928 r. drużyna usamodzielnia się. Drużynowym zostaje dh. Wł. Kujawski. Teraz praca prowadzona z niezwykłą energją idzie ciągle naprzód.

W lecie 1928 — 5 instruktorów kończy kurs dla drużynowych, w 1929 r. — drużyna urządza pierwszy po „odrodzeniu" obóz w Rychłocicach. W r. 1929 zachodzą zmiany w kierownictwie. Komendantem drużyny zostaje dh. Jerzy Pawlak.

W r. 1930 drużyna urządza obóz w Mikołajewszczyźnie na terenie K. O. P.-u; w zimie tego roku kurs zimowy, wreszcie w lecie 1931 r. —

obóz na terenie K. O. P.-u, kilka poważnych wycieczek wędrownych.

Drużyna zdobywa w tym czasie coraz wyższe kategorje: w r. 1929 — kat. C (drużyna próbna), w r. 1930 — kat. B (drużyna przygotowawcza), w r. 1931 — najwyższą — kat. A (drużyna harcerska).

Należy zaznaczyć, że na 16 drużyn męskich w Łodzi, kat. A posiadają tylko dwie.

J. PAWLAK.

Z obozu harcerskiego łódzkiej drużyny im. R. Traugutta.

„Trójka" rozbiła swe namioty tego roku o 650 km od Łodzi nad granicą sowiecką w okolicy Stołpców. Na 6 tygodni ożywiła się leśna polana na wysokim brzegu błękitnego Niemna, nieprzebyte lasy zgłębiła noga harcerza — włóczęgi. Uczestnicy, stare wygi obozowe, wysiliwszy cały swój dowcip, urządzili się praktycznie i estetycznie.

W ciągu obozu znaleziono czas na wszystko: na poważną pracę społeczną wśród miejscowych Białorusinów, na rozrywki, na naukę i na odpoczynek. Jak w kalejdoskopie przewijały się przed oczami uczestników zajęcia obozowe. Pobudka, „cześć sztandarowi", gimnastyka, harce, wycieczki (na kajaku), gry, orzeźwiająca kąpiel w Niemnie, raport, ognisko z gawędą i pieśniami, modlitwa, ostatnie tony trąbki, dającej znak do snu— to momenty niezapomniane. Jednym z najciekawszych wydarzeń obozu były liczne wycieczki.

Zwiedzono granicę sowiecką z polskiemi strażnicami K. O. P.-u, Nieśwież, Horodziej. Najpoważniejszą z wycieczek była 4-o dniowa w „okolice Mickiewiczowskie". Przebyto ogółem 250 km, z czego 100 km pieszo. Oglądano pagórki „złotem malowane", spoglądano z góry Mendoga i kopca Mickiewicza na Nowogródek, zwiedzono Mir, Tuchanowicze, Czombrów z dworcem „niewielkim z drzewa, lecz podmurowanym", Świteż tajemniczo uśpioną wśród puszcz (byliśmy tam w nocy) i Zaosie. Ostatnie dni obozu zeszły na zdobywaniu stopni i sprawności harcerskich, których osiągnięto imponującą liczbę 50. Dnia 10 sierpnia w tempie nadzwyczajnem zwinięto całkowicie obóz. Z żalem opuszczano miejsca, które stały się źródłem chwil szczęśliwych i niezapomnianych.

J. WOLSKI.

Plany i zamierzenia drużyny im. R. Traugutta.

Obecnie drużyna nasza liczy przy pracy 30-tu członków, podzielonych na trzy zastępy. Każdy zastęp specjalizuje się w pewnej dziedzinie pracy. Tak więc lotnicy budują modele samolotów, zastęp wodny przy-

gotowuje kajaki do letniej wycieczki, introligatorski oprawia bibljotekę drużyny, przygotowuje prace introligatorskie na bazar harcerski. A bazar już niedaleko. Trwać będzie od 8 do 13 grudnia w lokalu harcerskim (Ewangielicka 9).

Ferje zimowe wykorzystujemy w tym roku całkowicie dla naszej akcji. Przygotowany jest kurs narciarski, który odbędzie się na terenie Bucza Harcerskiego, (Śląsk Cieszyński). Uczestnikami kursu będzie dziesięciu starszych harcerzy, plus kilku kolegów z poza drużyny. Wyszkolenie narciarskie kursu podjął się łaskawie prowadzić p. prof. Maciak. Zamierzenia nasze na lato obejmują obóz stały drużyny na kresach wschodnich i dłuższą wycieczkę kajakami.

Tak szeroka akcja wymaga dużych sum pieniędzy, których zdobywaniem troskliwie zajmuje się „Koło Przyjaciół" naszej drużyny, projektując szereg imprez dochodowych, jak: zabawę karnawałową, koncert loterję fantową i inne.

SPRAWOZDANIA i RECENZJE

Erich Maria Remarque.

Droga powrotna.

Przekład L. Szczepańskiego.

Warszawa 1931. Tow. wyd. „Rój"

Tak dziś płodną i modną „literaturę wojenną" powiększa wydana przed rokiem „Droga powrotna" Remarqu'a.

Po wielkim sukcesie pierwszego dzieła „Na Zachodzie bez zmian", w którem dążenia pacyfikacyjne, wypływające z wielkiego humanitaryzmu autora, dochodzą do najwyższego szczytu napięcia, poczytność i rozgłos „Drogi powrotnej" niknie.

A jednak jest to książka ze wszechmiar godna przeczytania.

Remarque, wychodząc z założenia, które już postawił dawniej, że wojna niszczy nawet tych, którzy pozostają przy życiu, kreśli nam obraz duszy człowieka wojny w formie pamiętników.

Lecz nie jest to pamiętnik, pławiący się w blasku szumnych frazesów. To pamiętnik zwykłego, szarego żołnierza, rzucającego światu oskarżenie wojny.

Oskarżenie, przeraża swą siłą.

Piekielna machina wojny wypuszcza ze swych szponów ludzi niezdolnych już do życia, dla których niema powrotu.

Wojna znaczona rdzą przelanej krwi, kalejdeskopem straszliwych scen, za wielkie wycisnęła piętno w ich duszach. Powrót do życia bez wiary, zalany wspomnieniem dni przebytych w okopach, wymiotem paszcz armatnich, znaczy się utratą szczęścia na zawsze.

Autor w jaskrawych barwach maluje szamotanie się uczestnika wojny, który chce wygrzebać swą duszę z pod zasp granatów, karabinów maszynowych, odnaleźć jej pierwowzór.

Napróżno.

Wyrwano go z nurtu życia, jeszcze dzieckiem.

Zabito w niem człowieczeństwo wraz z włożeniem munduru.

To też plącze się w paragrafach ustroju społeczno-państwowego, mierzy go kątem widzenia praw wojny i zrozpaczony niedorzecznym wynikiem porównania, nie wie, co począć, gdzie znaleźć przyczynę.

I tylko nurtuje nim wyrzut do starszego społeczeństwa, które woli „sprzeczać się o zwycięstwa, gadać o bohaterstwie, stawiać pomniki wodzom", niż użyczyć mu ręki pomocnej w wybraniu pewnej drogi, wzniecić ufność w zatracone ideału, wiary w odbudowę, niż wniknąć w głąb jego serca.

Książka Remarque'a jest wielkim przyczynkiem do wzrostu idei pacyfistycznej, protestem przeciw ciągłym zbrojeniom naszego wrogiego sąsiada, i jako taka, winna obiec jaknajszerszy ogół społeczeństwa.

Tłumaczenie Ludwika Szczepańskiego stoi na wysokości zadania.

M. GERSDORF.

Koncert K. Arrau.

W czwartek dn. 12 b. m. w sali filharmonji łódzkiej wystąpił z koncertem mistrzowskim nieznany dotąd u nas pianista, Klaudjusz Arrau. Stosunkowo nieliczna, z płci pięknej przeważnie złożona, publiczność, przyjęła młodego i przystojnego wirtuoza hucznemi oklaskami.

Na program koncertu składały się — Warjacje Bethovena, Sonata B-moll Mozarta, Sonata H-moll Zinta, „Ondine" — Rewela, „E'Puerto" — Albeniza, „Petrouschka" — Igora Strawińskiego, wreszcie kilka drobnych utworów Chopina odegranych na bis.

Jasna gra pianisty sprawiła słuchaczom miłą niespodziankę. Prawda, że słyszeliśmy lepszy ton i frazowanie, ale opanowanie instrumentu, wspaniała, genialna wprost technika, mocarne uderzenie zachwyciły wszystkich.

Mozartowska Sonata, Ondine, Etiuda i Walc — Chopina wypadły słabiej, ponieważ tu trzeba było pewnej delikatności w wykonaniu. Natomiast żywiołowy temperament Liszta i piękno ultra-nowoczesnej, wspaniałej „Petrouschki" były oddane znakomicie. Klaudjusz Arrau ma przed sobą wielką przyszłość.

H. A.

„Światła wielkiego miasta".

Reż. scenarjusz, muzyka — Charlie Chaplina.

Ostatni film Charlie Chaplina, plon długotrwałej, męczącej pracy, „Światła wielkiego miasta" pozostawiają w widzu niezatarte wrażenie.

Tragedja małego człowieczka o wielkiem sercu przemawia do nas bardzo silnie; tem silniej, że łzami przez śmiech.

A momentów błyskotliwego humoru jest tu moc. Do tych należą sceny z makaronem, gwizdkiem, walka z bokserem i wiele innych.

Godnym uwagi jest również sposób podkreślania niektórych momentów akcji przez symbolikę, którą zresztą twórca: „Świateł" posługiwał się w innych filmach.

W mistrzowski sposób Charlie rozwiązuje tu zagadnienie udźwiękowienia.

Nie drażni chrapliwemi dialogami, nie daje nieszczęsnych wstawek śpiewnych, tak nieraz bezsensownie wtykanych tam, gdzie trzeba i nie trzeba w innych filmach.

Natomiast muzyka podkreśla tu tylko akcję filmu, tworząc nieraz b. ciekawe efekty, jak np. dźwiękowa parodja mowy angielskiej.

O grze Chaplina nie trzeba chyba mówić. Groteskowa postać wielkiego komika, a raczej tragika stoi nam po wyjściu z kina jeszcze długo przed oczyma. M. G.

ŻYCIE SZKOŁY

Otwarcie świetlicy.

Dnia 31 października b. r. o godz. 6 w. w gimnazjum naszem odbyła się uroczystość otwarcia świetlicy. Po przemówieniu p. dyr. Bromirskiego, p. wizytator Szymanowski przeciął wstęgę w obecności zaproszonych gości, Rady Pedagogicznej, Tymcz. Kom. Samorz. i delegacyj klasowych.

Następnie w nowo-poświęconej świetlicy odbyło się uroczyste zebranie Tymcz. Kom. Samorządowej.

Na zakończenie — Koło Rodziców podejmowało obecnych herbatką.

Z Tymczasowej Kom. Samorządowej.

Dnia 31 paźdz. b. r. z okazji otwarcia świetlicy odbyło się uroczyste posiedzenie T. K. S. Porządek dzienny obejmował: 1° Zagajenie. 2° Przyjęcie nowego członka T. K. S. (w związku z powstaniem Koła Inicjatywy Społeczno-Obywatelskiej). 3° Program obchodu Święta Niepodległości. 4° Wolne wnioski.

Dnia 12 listopada b. r. odbyło się nadzwyczajne, tajne posiedzenie T. K. S.-u.

XV-lecie Ł. D. Harc. im. R. Traugutta.

Tutejsza gimnazjalna drużyna harcerska z okazji XV-lecia swego istnienia urządziła d. 8 listopada uroczysty obchód.

Program obchodu był bardzo obfity i ciekawy. Część poważną wypełniły przemówienia, deklamacje i przyrzeczenie. Część drugą natomiast, wesołą, wypełniły produkcje chóralne, humor obozowy, tudzież choreograficzne „występki" d-hów Głydziaka i Galickiego, którzy z zapałem, odczuciem i głębokiem zrozumieniem rzeczy odtańczyli „Pijanego marynarza".

Do podtrzymania tego „skocznego nastroju" wydatnie przyczyniła się obecność wielce miłych druhen „Basiek Wołodyjowskich".

Obchód Święta Niepodległości.

Program obchodu obejmował trzy części:

I — Dnia 10 listopada b. r. — uroczysty apel poległych kolegów, fanfary i złożenie wieńca przed tablicą.

II — Dnia 11 listopada b. r. — Akademja dla niższego gimnazjum. Po uroczystem zagajeniu, kol. Wodzinowski odczytał referat p. t. „Jak odzyskaliśmy niepodległość", następnie deklamował nasz mały artysta kol. Dobrowolski z kl. II.

III — D. 11 listopada b. r. po południu— akademja dla klas wyższych, której program obejmował przemówienia, melodeklamację (kol. Sokół i Lewandowski)i i produkcje chóru.

Podniosły nastrój obecnych, — jak tego wymagała powaga chwili — doskonale harmonizował z programem.

Sejmik.

Jak się dowiadujemy, wybory do Sejmiku znajdują się w stadjum realizacji. Dotychczas „posłów" wybrało większość klas.

Ostateczny termin zwołania Sejmiku przesunięto ze względów technicznych.

SPROSTOWANIE. W ubiegłym numerze sprawozdanie Koła Fizyków winno brzmieć: D.10.X.b.r.odbyło się zebranie Koła Fizyków poświęcone obchodowi 130-letniej rocznicy śmierci Faraday'a, wygłoszono referat p. t. „100-lecie odkrycia prądów indukcyjnych".